

Miroslaw Majewski

Człowiek w jarmułce

Moja mama jeździła co piątek do szkoły, kończyła jakieś zaoczne technikum, czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie.

– W takim właśnie przedziale urodziłam cię synku.

Malowałem sobie właśnie kopiowym ołówkiem zegarek na przegubie lewej ręki. Zawsze chciałem mieć taki zegarek jak tata. Tata miał raketę. Zegarek taty miał 21 kamieni. Nie wiedziałem co to znaczy 21 kamieni. Ale wiedziałem, że im więcej ma kamieni, tym jest lepszy. Wiedziałem też, że tata jest dumny ze swojego zegarka. To była jego nagroda za działalność związkową, albo za wygraną w powiatowym turnieju brydża.

– Przestań się mazać!

Spojrzałem na mamę i ściągnąłem rękaw sweterka, spod którego teraz wystawał jedynie ten mały trybik do nakręcania, namalowany z taką pieczołowitością.

Później zacząłem gapić się w okno. Było to, poza pisaniem Asymetrii, jedno z moich ulubionych zajęć.

Ciemno, chociaż to jeszcze nie noc.

Pada deszcz.

Pociąg miarowo wystukiwał rytm.

Mama przeglądała swoje notatki w grubym brulionie formatu A-4.

Odkąd tylko pamiętam, czyli od urodzenia, mama zawsze miała ten brulion. Przeglądała go w mdłym świetle przedziału. I była wtedy jakaś taka nieobecna. Czasem odrywała wzrok od treści w nim zawartych i patrzyła gdzieś w sufit, zawieszając na jakiś czas swój wzrok w jego najciemniejszym kącie.

– Mamo.

– Tak?

– Czy ja się urodziłem w tym przedziale?

– Nie wiem. Być może w tym Makary.

– Tak, chyba w tym... – zadecydowałem. To był dobry przedział. Mama wzruszyła tylko ramionami i uwalniając sufit od swojego wzroku wróciła do swoich notatek.

Zresztą wszystkie przedziały były bliźniacze. Cztery na jeden wagon. Do przedziału wchodziło się bezpośrednio z peronu. I największym ich mankamentem był brak możliwości zwiedzania wagonu, i co za tym idzie, całego pociągu.

Ktoś mógłby powiedzieć, że te przedziały były więziennymi celami, krępowały ruchy, naginały prawo do swobodnego przemieszczania się, i wiele innych przywilejów człowieka i obywatela.

Ale dla mnie, miały coś z łona matki, przedział przyjął mnie przecież tak łagodnie z matczynego, na swoje łono. Zamknięty w jego bryle, ani na chwilę nie straciłem poczucia bezpieczeństwa, i tego przyjemnego, miarowego kołysania.

Tak. Mój, być może klaustrofobiczny dla innych świat, dawał mi poczucie bezpieczeństwa.

I o ile czułem się dobrze w pędzącym przed siebie pociągu, o tyle byłem zaniepokojony jego postojami, na wielkich oświetlonych trupim

światłem dworcach.

Pociąg, stojący w bezruchu miał w sobie jakąś grozę. Symbolizował śmierć. I te ostre światła dworców. Były niczym lampy w prosektorium.

Wieczność nie jest niczym innym, jak tylko ostatnim kadrem.

– Mamo.

– Co znowu?

– Dlaczego nie urodziłem się w szpitalu.

– Już ci to przecież mówiła. Urodziłeś się przed terminem. Jesteś wcześniakiem.

Wcześniakiem...

Stałem w otwartym oknie, i siłą woli próbowałem przesunąć czarne wskazówki, wielkich dworcowych zegarów. Podciągnąłem rękaw sweterka, aby sprawdzić godzinę na moim namalowanym zegarku. Trochę się spóźniał, więc go nastawiłem zgodnie z tym, jaki był na peronie.

Tak to już jest, pewne sytuacje się opóźniają, inne jak moje narodziny, przyspieszają.

Myszę że to wszystko związku z moją naturalną niecierpliwością.

Wskazówki zegara ruszają się tak bardzo powoli, a ja z natury jestem niecierpliwy.

Niecierpliwy? Tak! Ale tylko w pewnych okolicznościach, tak jak teraz, kiedy pociąg stoi i stoi i stoi. Nie spieszy się. Odpoczywa zmęczony dotychczasową jazdą.

Dokładnie jak ci ludzie na peronie, którzy bez pośpiechu, zajadają swoje kanapki z masłem i jajkiem na twardo. A gryząc pomidora, czasem plamią swoje koszule jego czerwonym sokiem. Dlatego mama nigdy nie bierze pomidorów na drogę. Nie wiem czy to dobrze, czy źle.

Pociąg rusza. Cóż za ulga. Jedziemy. Uciekamy trupioblądnym światłom dworca.

– Zamknij już okno.

Zamykam, ale nie odchodzę. Z przyklepionym do szyby nosem wpatruję się w mijane budynki, obskurne kamienice, jakieś kolejowe warsztaty, złomowiska. Czasem wylapuję jakoś postać. Być może robotnika który idzie do, lub wraca z pracy. Tak, to kolejarz, poznaje po specyficznej firmowej czapce na głowie. Kolejarz ze swoim nikogo nieobchodzącym życiem. Ciekawe jak ma na imię. Być może Józef, albo Ryszard. Mieszka w kamienicy, której właścicielem jest jego zakład pracy. Ma żonę Janinę, albo Patrycję. Mieszka na trzecim piętrze, i musi wchodzić po drewnianych, skrzypiących schodach. Klatka schodowa, jak i cała kamienica jest obskurna. Kogo obchodzi życie jakiś tam, kolejarzskich rodzin. Czyż elity nie układają właśnie w ten sposób społecznego ładu. Na tych, którym się służy, i tych, którzy służyć muszą. Na tych, którzy od urodzenia są edukowani na panów i tych, którzy rodzą się w przedziale pędzącego pociągu?

– Nie chce ci się jeszcze spać synku?

Siadam. Moja mama jest już staruszką. Ma siwe włosy i okulary z grubymi szklami. Jej dłonie drżą, kiedy trzyma ten już nie tak wielki,

jak kiedyś mi się zdawało, brulion formatu A-4.

– Mamo, dlaczego nie bierzemy nigdy na drogę pomidorów?

– Kiedyś braliśmy, ale ty zawsze plamiłeś swoje ubranka ich sokiem. Może chcesz jabłuszko?

– Tak.

– Obrac ci?

– Nie, nie trzeba mamo. Jestem już dużym chłopcem.

– Chcesz herbaty?

– Proszę?

– Nalać ci herbaty!

– Nie. Dziękuję mamo.

– Ja się napiję.

Mama drżącymi rękami otwiera termos i wlewa do kubeczka parujący jeszcze napój. I nie jest to bynajmniej łatwe w rozpędzonym pociągu.

Teraz wagony są już inne, nowoczesne. Do przedziałów wchodzi się z długiego korytarza. Można chodzić od przedziału do przedziału, zwiędzając cały pociąg. Można przeciskając się przez ludzką ciżbę zagnieżdżoną od wieków korytarzach wagonów, dojść do Warszawy, aby spotkać się z kimś, kto chce sprzedać pozłacanego Ronsona.

Z tym, że w tamtych, starych wagonikach, miałem tę niezachwianą pewność, że nikt w czasie jazdy nie zajrzy do nas, tak jak teraz.

– Czy są tu wolne miejsca?

Co to za idiotyczne pytanie. Siedzimy tylko we dwójkę, ja i mama.

Nie odzywam się. Mama przytakuje, zaprasza do środka nieznajomego, z jarmułką na czubku głowy. Mama jest bardzo otwarta na ludzi. Urodziła się w domu, w łóżku swojej matki, gdzieś w zapadłej wsi na północy kraju. Była wojna.

– Dziękuję. – Mężczyzna wnosi w sobie jakiś świeży powiew. Pachnie markową wodą kolońską. Jest w wieku mojej mamy. A więc też musiał urodzić się w czasie wojny.

Widocznie miał szczęście, cholerne szczęście. Pomyślałem sobie, dyskretnie zerkając na jego nakrycie głowy.

Farciarz!

– Aaron. Aaron Sznajderman. – Nie wiem dlaczego, ale najzwyczajniej w świecie, przedstawia się, podnosząc dłoń mojej mamy do swoich ust. – Tak, jak mój ojciec. – Wyjaśnia niepytany.

– A pan – Wita się teraz ze mną nie tylko uściskiem dłoni, ale również tajemniczą przepowiednią. Proroctwem. – Kiedyś o tym wszystkim napisze...

– Dzięki Aaronie. – Poruszam brwiami. – Zawsze chciałem być pisarzem.

Chcąc zamaskować zażenowanie zerkam na namalowany kopiowym ołówkiem zegarek. Bardzo się śpieszy...

Bardzo...